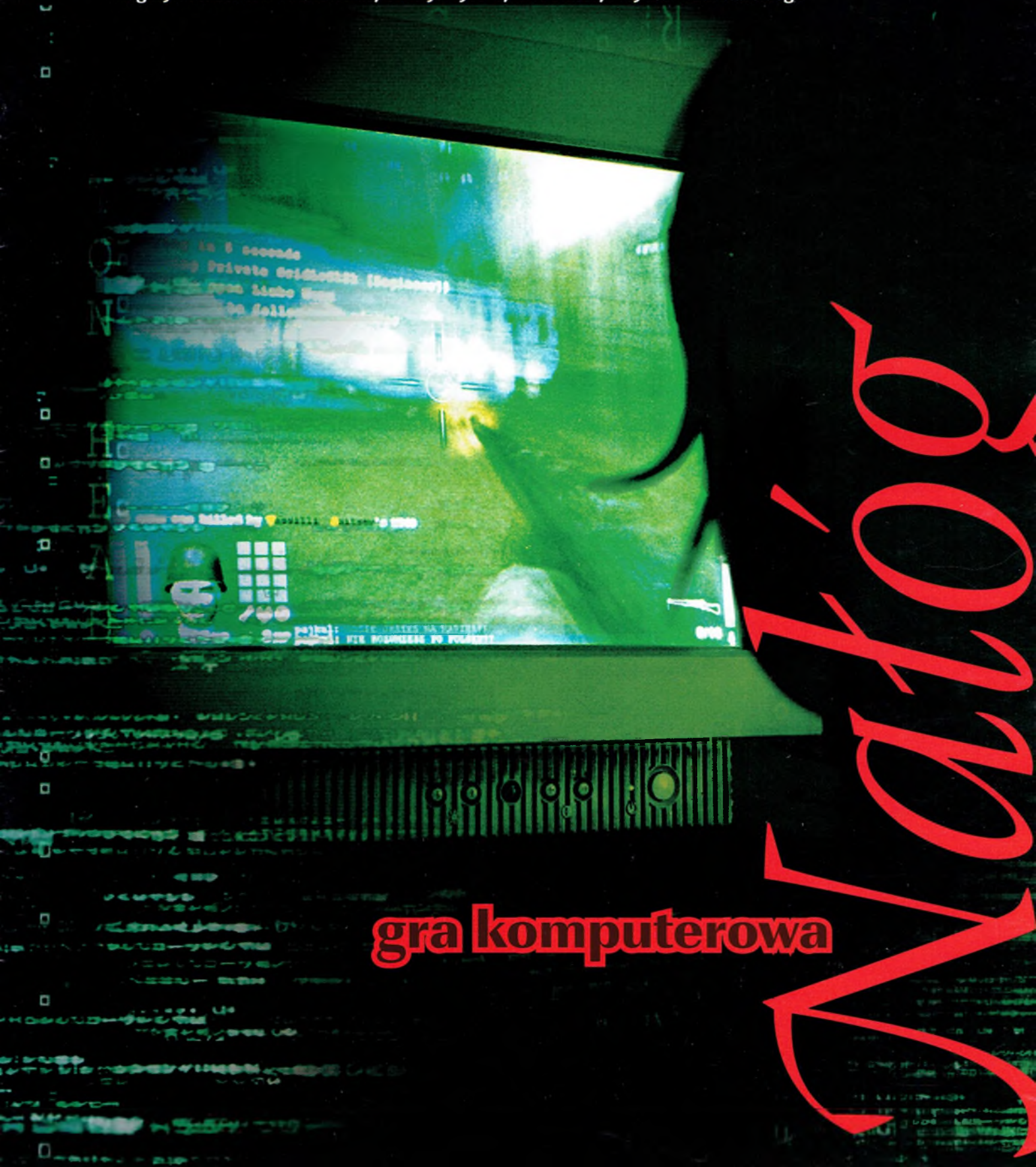


ISSN 1732-6494

miXer

nr 18 • listopad 2006

Magazyn studentów Krakowskiej Szkoły Wyższej im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego



gra komputerowa

redaktor
naczelny

Bartłomiej Misiniec

zastępca
redaktora
naczelnego

Grzegorz Makuch

redakcja

Arkadiusz Drygaś
Grzegorz Lewandowski
Joanna Mysińska
Agnieszka Prostań
Anna Pycińska
Roksana Rumińska
Karolina Świerad
Katarzyna Skorupa
Szymon Wróbel
Kinga Zielińska

zdjęcia

Michał Pawłowski

projekt
graficzny/
przygotowanie
do druku

Joanna Sroka

adres
do korespondencji

mixer@kte.pl

druk

Drukarnia Leyko
tel. 012 656 44 87

nakład

2000 egzemplarzy

opieka
redaktorska

Maciej Malinowski
(Wydział Politologii
i Komunikacji Społecznej)

Redakcja zastrzega sobie prawo do redagowania
tekstów oraz zmiany tytułów. Redakcja nie zwraca
tekstów niezamówionych.

Zdjęcie na okładce Michał Pawłowski;
obrobka cyfrowa: Joanna Sroka

w numerze:

Apéritif

3

PoWaGa:

Politycznie Ważne Gadanie

- Ptakoszatan nad kloaką
- To nie kino, to życie

4
6

StuDnia:

Studencki Drogowskaz Intelktualny

- Taśmiarstwo
- Jeśli impreza, to pod szyldem Samorządu

7
8

Kraków od spodu:

- Galeria „Krakowska”, czyli... sukces natychmiastowy
- I love Nowa Huta
- Nowykrakow.pl

9
10
11

Temat z okładki

- Natóg – gra komputerowa

12

KUMulus:

Kulturalny Uzupełniacz Młodzieży

- *Granie na plaży od zachodu do wschodu słońca to rzecz niepowtarzalna...* - mówi Dj Adamus
- Nowy... Robert Ludlum
- *Piątek 13*

16
20
21

FeLieTon:

Fobia Ludzi Trudnych

- Łatwiej zmienić religię niż kawę

22

CB: Czarno-Białe

- Czy dziennikarstwo ma przyszłość?

23



Apéritif

Z ogromną satysfakcją oddajemy w wasze ręce kolejnego „Mixer”. Jako temat numeru przedstawiamy artykuł Piotra Dzika „Nałóg – gra komputerowa” (str. 12-15). Poruszony tam problem dotyczyć może również studentów „Frycza”. Wywołujący zrazu politowanie temat uzależnienia od gier komputerowych okazał się na tyle poważny, że poświęca mu się kolejne naukowe analizy.

Chodzi bowiem nie tyle o skutki, co o przyczynę sięgania po, nazwijmy to umownie, „używkę” w postaci gry. A najczęściej jest to właśnie – zupełnie jak w przypadku narkotyków czy alkoholu – rozpaczliwa chęć oderwania się od szarej, smutnej rzeczywistości. Tracąc czas na błędzeniu po alternatywnej rzeczywistości – pisze autor artykułu – nie zauważamy przemijającego, naszego prawdziwego życia.

Na str. 16-19 znajdziecie zaś wywiad z Dj Adamusem, znanym z programu *Kuba Wojewódzki*. Nasz redakcyjny kolega Szymon Wróbel przeprowadził tę rozmowę przy okazji występu Adamusa w jednym z krakowskich klubów.

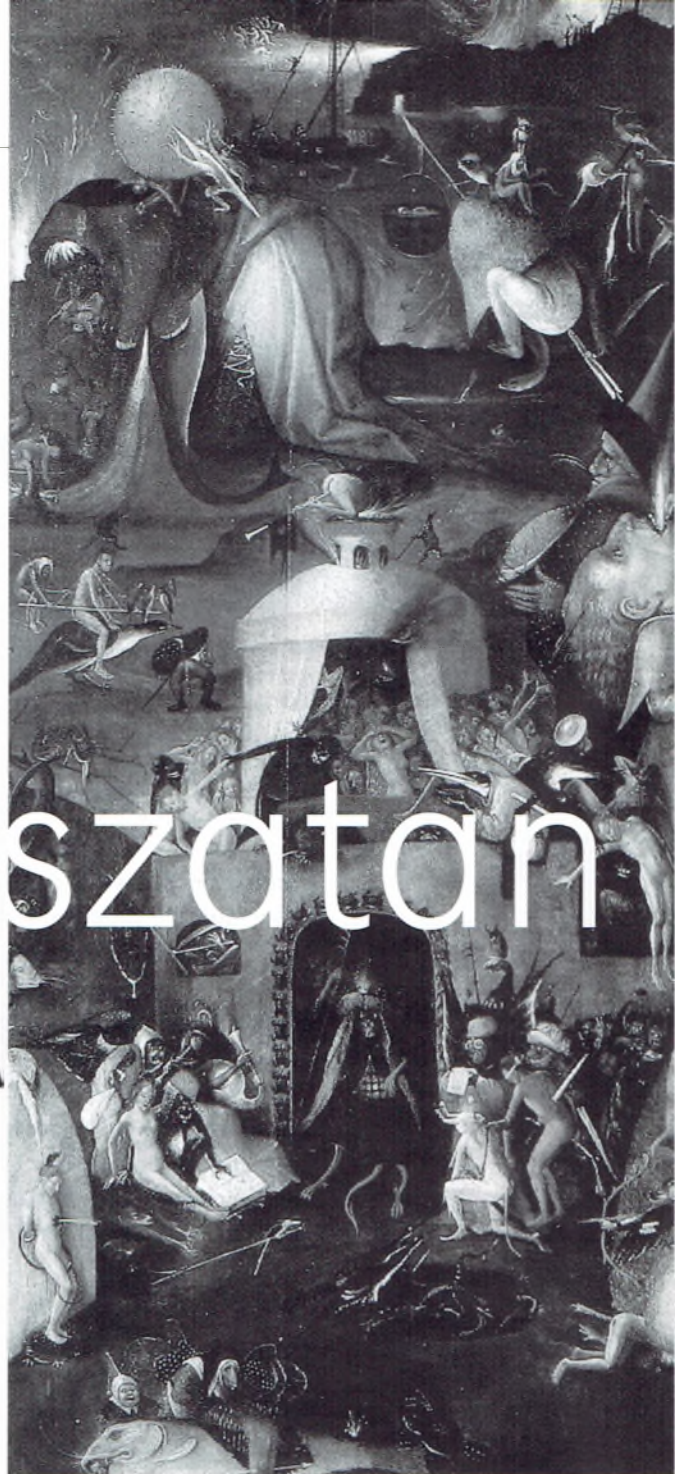
W KUMulusie tradycyjnie czeka na was kilka recenzji, a FeLieTon poświęcony jest „preludium nowego dnia”, czyli rytuałowi picia kawy. Ileż to razy po wyłączeniu budzika przecieramy rano oczy, ziewając szeroko, i próbujemy usiąść. Zaczyna się kolejny dzień... Jak zwykle za wcześnie. Spoglądamy tęsknie na ciepłe łóżko ze świadomością, iż zaraz trzeba będzie wstać. Ten przykry obowiązek rozjaśnić może jedynie myśl o przyjemności, która na nas czeka... Kawa... I już warto wstawać! Prawda? Roksana Rumińska przedstawia własne spojrzenie na ceremoniał picia kawy w artykule o dużo mówiącym tytule: „Łatwiej zmienić religię niż kawę” (str. 22).

Życzę więc udanej lektury i dziękuję za nadesłane przez was teksty. Ich liczba okazała się na tyle duża, że nie zdołaliśmy pomieścić wszystkich w tym numerze, ale z pewnością ukażą się one w grudniowym „Mixerze”. Ponieważ od przybytku głowa nie boli, w dalszym ciągu gorąco zachęcam do zadebiutowania na naszych łamach i przesyłania literackich próbek na **mixer@kte.pl**

Bartłomiej Misiniec
redaktor naczelny

Maturzyści nie dostaną płyty zespołu „Normalsi” z fragmentem *Pieczęta* Hieronima Boscha

Ptako szatan nad kloaka



Hieronim Bosch, *Sąd Ostateczny* (prawe skrzydło tryptyku)

Bosch nie będzie już kojarzony wyłącznie z marką sprzętu AGD. Decyzją (przed kilkoma miesiącami) kilku kuratorów oświaty najbardziej wyrazisty surrealista renesansu został okrzyknięty... pornografem. Z ich punktu widzenia należy chronić dziewiczą niewinność maturzystów przed demoralizującym wpływem twórczości Hieronima Boscha (1454-1516). Zmiana na stanowisku ministra edukacji narodowej na nic się w tej kwestii zdała: lokalni urzędnicy państwowi są nieugięci.

O co chodzi? Otóż o to, że menedżer rockowej grupy „Normalsi” Arkadiusz Pachulski postanowił sprawić prezent najlepszym maturzystom w kraju. Mieli oni otrzymać płytę zespołu z okładką, na któ-

rej widnieje fragment *Pieczęta* Hieronima Boscha. Utwory nawiązują do kolejnych przykazań Dekalogu. Abstrahując od marketingowego podtekstu wypowiedzi Pachulskiego, że dzięki muzycznej interpretacji młodzież zastanowi się nad fundamentalnymi zasadami chrześcijaństwa, reprodukcja dzieła idealnie współgra z tematyką utworów „Normalsów”.

Prezentu jednak nie będzie. Mimo że Ministerstwo Edukacji i Nauki wcześniej poparło ów projekt, kuratorzy nie zgodzili się ostatecznie na dystrybucję płyt w szkołach. Jeszcze w listopadzie ubiegłego roku pomysł spotkał się z szeroką aprobatą, ale pod koniec marca stwierdzono, że okładka jest obsceniczna i może obrażać uczucia religijne uczniów.

Niewykluczone, że zmianę stanowiska w rzeczowej sprawie należy łączyć z odwołaniem przez nowy rząd „starych” kuratorów i mianowaniem „nowych”.

Na lekcjach historii lub języka polskiego można nieraz usłyszeć o tym, jak to w ciągu lat zmieniano się poczucie moralności. Ponoć akty malowane przez Michała Anioła były zamalowywane, a najlepsze freski powstały na sklepieniu Kaplicy Sykstyńskiej, poza zasięgiem stróżów moralności. Niezwykle estetycznie musiały wyglądać w tym okresie renesansowe posągi przyodziane w tandetne przepaski na biodrach i biustach... Czyżbyśmy wracali do czasów, kiedy to władze publiczne mają na nowo interpretować blisko pięćsetletnie dzieła sztuki?

Na okładce płyty wykorzystano fragment tryptyku *Ogród rozkoszy ziemskich*. Na lewym skrzydle *Raj ziemski*, na środku *Ogród rozkoszy*. Z prawej strony dzieło zamyka to, co otwiera usta kuratorom: po prostu *Piekło*. Obraz to wizja koszmarów i obaw dręczących malarza. W centralnym punkcie zasiada potwór o ptasiej głowie, połykający dusze grzeszników. Wydała ich do klozetu znajdującego się pod jego tronem. Wokół kloaki skupiono sceny symbolizujące ludzkie grzechy i słabości. Próżna kobieta przegląda się w lustrze, które w rzeczywistości jest tyłkiem diabła. Mężczyzna po akcie wielkiego obżarstwa wymiotuje do szambła, gdzie spoczywają dusze wydalone przez ptako-

szatana. W tle zjawy zakłócają leniowie beczynne gnicie w łóżku.

Poza prostymi skojarzeniami Bosch operuje bogatą symboliką. Mężczyzna rozszarpywany przez psy trzyma w odgryzanej dłoni kielich. Pokutuje za grzech gniewu lub świętokradztwa. Nachalna maciora przekonuje towarzysza uciech, by podpisał dokument leżący na jej kolanach. Prawdopodobnie jest to akt ślubu. Wieprz ma na sumieniu seks przedmałżeński i naruszenie celibatu. Świadczy o tym zakonny czepek zwisający nad jego ryjem.

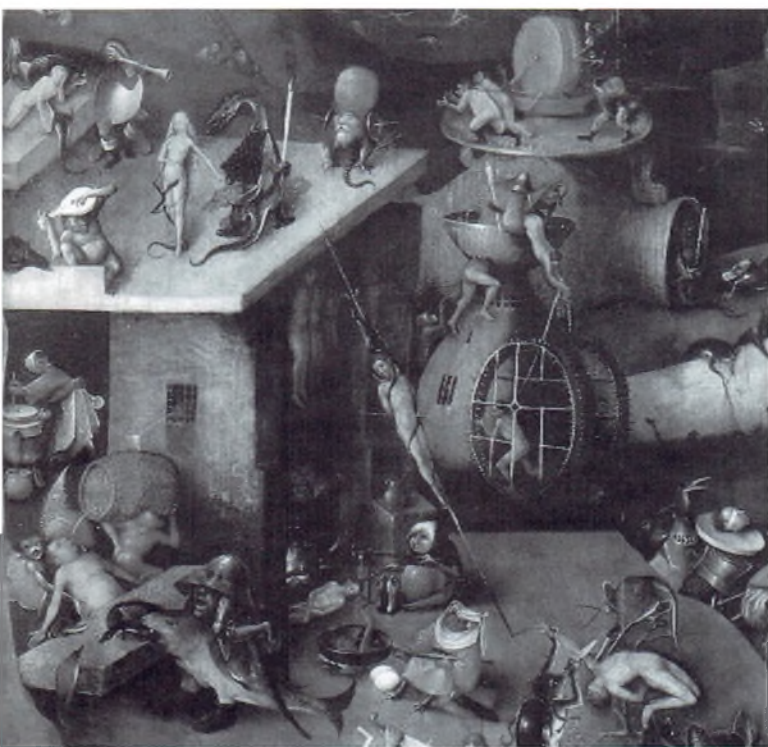
W *Piekle* pojawia się też wątek muzyczny. Wędrujący grajkowie byli wówczas oskarżani o szerzenie rozpusty. Nie dość, że ściągali ludzi do tawern, to jeszcze zabawiali ich sprośnymi tekstami. Synonimem rozpusty była muzyka ciała, a w niektórych niderlandzkich dialektach (Bosch sporą część życia spędził w okolicach dzisiejszej Belgii) gra na lutni i gra miłosna oznaczały to samo. Wówczas symbolem męskich narządów płciowych nie był żaden flet czy fujara, ale kobza. W nabrzmiały worek z kilkoma ustnikami ochoczo dmie na obrazie wiele postaci. Jedna z nich, opętana zgubnym pożądaniem, została uwięziona w bębnie. Naga kobieta przeży się między strunami harfy w pozycji, w której ukrzyżowano Jezusa.

Cały tryptyk robi ogromne wrażenie. Po rozłożeniu skrzydeł miałby długość około 7 m. Dzieło poraża wielością elementów i barw. Postaci na każdej z tablic jest tak wiele, że nie można ich zliczyć. Wyglądają tak, jakby ledwo mieściły się na obrazie i miały zaraz rozbiec się po podłodze jak człokształtne mrówki. Muszę rozczerować miłośników pornografii: przede wszystkim postaci – z punktu widzenia dzisiejszej estetyki – są zwyczajnie nieatrakcyjne. W dodatku z powodu sporej liczby szczegółów i mikroskopijnych rozmiarów niektórych elementów po prostu zbyt wiele nie widać. W dodatku dzieło wymaga naprawdę specyficznych upodobań...

Jest jednak aspekt rozbudzający nadzieję w tej zgoła beznadziejnej i kompromitującej kuratorów sytuacji. Albumów z twórczością Boscha wydano w Polsce stosunkowo niewiele. Mam nadzieję, że po takiej „reklamie” wszystko się zmieni, a niedoinformowani wydawcy licznych magazynów pewnie zainwestują w twórczość tego zboczonego od *Piekle* artysty, który zawstydza, obrzydza i propaguje obsceniczne obrazki.

Iga Balos

Hieronim Bosch, *Sąd Ostateczny*
(część centralna)



To nie kino **TO ŻYCIE**

Polskie filmy pokazują przemoc w rodzinie i problem alkoholizmu w sposób tak bezpośredni, że aż szokują.

Zyjąc w ciągłym pośpiechu, zapominamy często o tym, co w życiu najważniejsze: dzieci, rodzina. Błędy wychowawcze lub bierna postawa wobec innych może doprowadzić do tragedii, choćby tej sprzed miesiąca w Gdańsku. W ostatnich latach polscy reżyserzy, poprzez filmy, starają się zwrócić naszą uwagę na ważne społeczne problemy.

Po 1989 roku sporo się w Polsce zmieniło. Ten czas, zwany okresem transformacji, przyniósł wiele zmian, na które ludzie tak bardzo czekali. Choćby to, że dziś na łamach „Mixera” mogę bez obaw wyrażać swe poglądy i przekonania. Zmiany przyniosły sporo dobrego, ale przyczyniły się również do wielu negatywnych zjawisk w naszym społeczeństwie.

Dziś, patrząc z perspektywy 16 lat od tamtych wydarzeń, widać, że najstraszniejszy jest wyścig. Można go nazywać „wyścigiem szczurów”, lub inaczej, ale zawsze będzie to wyścig o lepsze stanowisko, wyższą pensję... Czasami się udaje, a czasami nie. Ale bardzo często wyścig ów niesie ze sobą patologię.

Zapomina się o dzieciach, które pozostawione samym sobie, sięgają po używki albo dla rozrywki stosują przemoc wobec kolegów, koleżanek. Zapomina się o bliskich, na których wyładowuje się nagromadzone emocje, bo np. coś nam w pracy nie wyszło.

Pogadanki i filmiki w szkole na tematy przemocy, alkoholu oraz innych używek nie działają już na młodych ludzi. Traktują je oni raczej jako luźną lekcję niż przestroagę przed czymś, co może zrujnować ich przyszłe życie. A problemy są i widać je gołym okiem na ulicy, w jadłodajniach czy tramwajach. Tutaj nie trzeba przytaczać czarnych statystyk, wystarczy się rozejrzeć.

Z tego właśnie powodu w ostatnich latach polscy reżyserzy sięgnęli po temat patologii. Tak oto w 2004 r. powstały *Pręgi* Magdaleny Piekorz, a w tym roku na ekrany wszedł kolejny z cyklu filmów Marka Koterskiego *Wszyscy jesteśmy Chrystusami*. Owe dwa bardzo mocne filmy powstały z potrzeby chwili. Bo właśnie teraz jest na nie pora, dziś, kiedy wszystko zmierza ku szeroko pojętej liberalizacji, a wychowanie bezstresowe staje się podstawowym sposobem postępowania z dzieckiem. Filmy te pokazują przemoc



Kadr z filmu Jana Kidawy-Błońskiego *Skazany na bluesa*

w rodzinie i problem alkoholizmu w sposób tak bezpośredni, że aż szokują. Ale kino, jeśli chce się stać nauczycielem i wychowywać ludzi, musi pokazywać to w taki, a nie inny sposób, inaczej nie dotrze to do ludzi, głównie młodych ludzi, i będzie to kolejna „luźna lekcja”.

Zastanawiam się, jaki film dorzucilibyśmy do tych dwóch, żeby stworzyć w kinie „maraton-przestroge”, i przychodzi mi do głowy film Jana Kidawy-Błońskiego z zeszłego roku *Skazany na bluesa*. Film o życiu legendarnego Ryszarda Riedla z „Dzemu”, w którym ukazana została patologia z perspektywy kogoś sławnego. Choć tak naprawdę takiego samego człowieka jak my, który nie może sobie poradzić z sobą samym.

Ten film momentami ukazał człowieka, którego nałóg zezwierzęca. Wtedy w kinie nie mogłem już na to patrzeć i jak dziecko zamykałem oczy. Mając jeszcze w głowie myśli i emocje, po wyjściu z tych trzech seansów myślę, że stworzenie takiego maratonu byłoby ciekawe. Bo wiem, że tego typu filmy są trudne i nie wszyscy potrafią zrozumieć ich ukryte, ale jakże ważne i poważne przesłanie. Patrząc jednak na to, ilu ludzi było na tych filmach w kinie, widzę, że nie jest z nami aż tak źle. Chcemy się uczyć, patrząc na czyjeś błędy, na zmarnowane życie bohaterów, bo taka nauka nic nas nie kosztuje.

Teraz, kiedy do głosu zaczyna dochodzić już nowe pokolenie, niepamiętające lat 60., 70., 80., może czas najwyższy zwolnić tempo. Spróbować coś zmienić, nie mówić „mnie to nie dotyczy”, tylko spojrzeć na sąsiadów, znajomych, a może najbliższych, zobaczyć, czy nie potrzebują pomocy. Wypowiedzieć wojnę patologiom.

Reżyserzy walczą, pokazując owe problemy w filmach, poprzez kulturę i sztukę zwracając na to uwagę. My natomiast musimy się starać zmienić swoje myślenie o tych sprawach i zacząć działać. Bo odpowiedź na pytanie: „Czy dalsze pogłębianie się w tym egoistycznym bagnie znieczulenia i celowym omijaniu problemu prowadzi do czegoś dobrego?”, wydaje się oczywista.

Szymon „SZYMON” Wróbel

Taśmiarstwo

StuDnia

Do czego
służy telefon
komórkowy
w czasie
wykładów?



W ostatnim czasie obserwujemy bardzo ciekawe zjawisko, jakim jest taśmiarstwo. Każdy, kto dysponuje kamerą, nieważne, czy w wielofunkcyjnym telefonie komórkowym, czy miniaturową, ukrytą w spince do krawata, chce zrobić z niej użytek. Gdy już się zapozna z instrukcją obsługi urządzenia, rozpoczyna rejestrowanie wszystkiego, co warte jest zarejestrowania.

Pionierami owego zjawiska są oczywiście agenci radzieckiego kontrwywiadu. W późniejszym czasie metoda ta rozpowszechniła się wśród profesjonalnych dziennikarzy. Oni jednak mają dość okrojony obszar działania. Zapisują na taśmach tylko takie zdarzenia, których w żaden inny sposób ujawnić nie można. Następnie biegną z takim nagraniem do redakcji, po czym ujawniają całą zapisaną prawdę. Po obejrzeniu świeżych niczym bułeczki z pieca materiałów, społeczeństwo wpada zwykle w stan neurotyczny, bo zazwyczaj ukrytymi kamerami nie nagrywa się rzeczy miłych i przyjemnych. Następnie ludzie wyrażą zadowolenie z uczciwości dziennikarskiej i jeżeli media pozwolą, postarają się zapomnieć o sprawie. I nic w tym złego.

W społeczeństwie występują również taśmiarscy amatorzy. Ci, w zależności od wieku, mają inny obszar zainteresowań:

- 13-16 LAT TO TZW. GIMNAZJALIŚCI – zabawy w gronie klasowym, od czasu do czasu do zabaw przyłącza się belfer prowadzący zajęcia. Filmiki można zobaczyć w Internecie. Zabawy bardziej doceniane publikowane są we wszystkich mediach. Młode talenty. Najlepsze prace znamy.
- 16-19 LAT TO TZW. LICEALIŚCI – masowe imprezy, na których pojawiają się hektolitry krystalicznie czystej wody, oczywiście niegazowanej. Muzyka, raz gorsza, raz lepsza – w zależności od tego, co kto lubi. Niedoceniane.
- 19 LAT (BRAK GRANICY GÓRNEJ) TZW. STUDENCI, EMERYCI, RENCIŚCI – jedni nagrywają profesorów, a dokładniej wykłady przez nich prowadzone (oczywiście dla celów edukacyjnych). A gdyby jakiś wykład został doceniony, takowy student może liczyć na swoje pięć minut sławy.

We wszystkich przypadkach taśmiarstwo przynosi skutki pozytywne lub całkowicie obojętne. Autorzy uznanych filmów mają swoje pięć minut sławy i wszystko jest w porządku. Trzeba jedynie pamiętać o tym, aby przypadkiem sławą nie został owiany nieodpowiedni film, w przeciwnym wypadku można zamienić „chwile sławy” na trzydzieści sekund w telewizji, a tym samym na ośrodek resocjalizacyjny bądź pogardę społeczną.

deEr



Fot. Monika Zawadzka

Od jakiegoś czasu w naszej uczelni pojawiają się ogłoszenia zwiastujące imprezy pod szyldem Krakowskiej Szkoły Wyższej. Są również informacje o wydarzeniach kulturalnych rzekomo organizowanych przy współpracy Samorządu Studenckiego KSW z innymi uczelniami (zarówno tymi państwowymi, jak i niepaństwowymi). Do tego wszystkiego dochodzą ulotki, które „ktoś” rozdaje studentom KSW.

Niestety, żaden z wymienionych przykładów nie jest potwierdzeniem rzeczywistej działalności Samorządu Studentów naszej szkoły, jeśli chodzi o organizowanie imprez. Nie wiadomo, kto podszywa się pod jego działalność, ale chcielibyśmy powiadomić was, że jest to działalność całkowicie nielegalna i nie ma nic wspólnego z naszym Samorządem.

Samorząd Studentów KSW jako jedyny upoważniony został do organizowania życia studenckiego pod postacią masowych imprez zamkniętych. Należą do nich przede wszystkim imprezy okolicznościowe, takie jak chociażby „Otrzęsiny”, andrzejki, mikołajki czy zabawy organizowane podczas juwenaliów. To o tyle ważna uwaga, że są one legalne, a pieniądze

Jeśli impreza, to pod szyldem *Samorządu*

Coraz więcej akwizytorów pojawia się w gmachu przy ul. Herlinga-Grudzińskiego

z nich przeznaczają się na zapewnienie wam bezpieczeństwa oraz na opłacenie lokalu. Dochody z imprez KSW służą także zakupowi sprzętu (np. sof i stołów w Klubie Studenckim) oraz celom charytatywnym (np. finansowe wsparcie Domu Małego Dziecka w Krakowie).

Jak rozpoznać, kiedy rzeczywiście na zabawę zaprasza was Samorząd Studencki KSW, a kiedy próbuje to zrobić ktoś inny? Odpowiedź jest prosta: wszystkie imprezy organizowane przez Samorząd mają odpowiednio podpisane plakaty, które jasno mówią, kto jest odpowiedzialny za przygotowanie np. dyskoteki. Ponadto bilety zawsze odbiera się w pokoju Samorządu Studenckiego 043 budynek A. W przypadku imprez organizowanych gdzie indziej podajemy numer telefonu, na który należy ewentualnie dzwonić, by się dowiedzieć czegoś więcej na temat imprezy (np. nie można kupić biletu na terenie szkoły).

Informujemy was o tym przede wszystkim dlatego, że chodzi nam o wasze bezpieczeństwo oraz o to, byście byli świadomi tego, co się dzieje w naszej uczelni. Chcielibyśmy również zapewnić, że Samorząd nie jest przeciwnikiem inicjatyw studenckich, co dotyczy także organizowania imprez wydziałowych. Jednak żeby były one legalne, muszą być konsultowane z Samorządem Studenckim KSW.

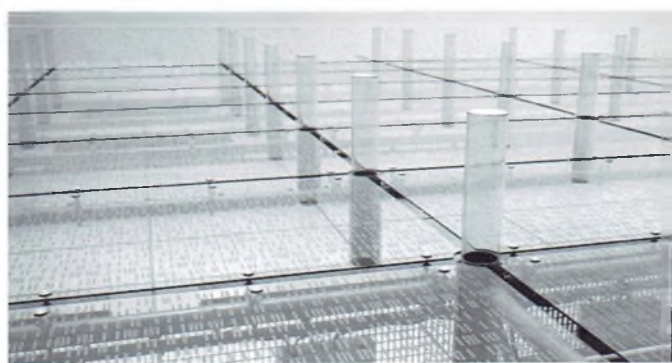
Gabriela Kózka



**Tłumy klientów
od rana
do wieczora**

Galeria „Krakowska”

**CZYLI...
SUKCES
NATYCHMIASTOWY!**



W centrum Krakowa otwarto imponującą galerię handlową o powierzchni 123 tys. m kw. Najnowsze trendy i style, które prezentowane są w 270 markowych sklepach, specjalnie przeszkolona obsługa, a także wygodny dojazd mają przyciągnąć klientów do nowo powstałej Galerii „Krakowskiej”. Powstające w pobliżu Dworca Głównego centrum handlowo-komercyjne było ostatnio najgłośniejszą inwestycją w Krakowie. Na jego otwarcie ściągnęły tłumy. Od tego czasu Galeria „Krakowska” zdążyła ugruntować sobie miejsce na mapie rozrywek Krakowa.

Imponuje rozmachem, z jakim ją zbudowano. Nowoczesne, świetnie oświetlone wnętrza klimatyzowanych pasażów przenoszą nas do miasta mody, gdzie znaleźć można największe polskie i światowe marki. Niektóre z tych ostatnich w naszym kraju pojawiły się dopiero po raz pierwszy.

W stu sklepach z odzieżą na pewno uda się wybrać coś dla siebie. Prezentowana jest zarówno odzież klasyczna, weekendowa, jak i młodzieżowa. Nie zabrakło również galanterii skórzaney i szerokiego wyboru obuwia, kosmetyków czy biżuterii.

Na aktywnych czeka 11 sklepów z artykułami sportowymi. Prawdziwi smakosze docenią zaś supermarkety ze starannie wyselekcjonowanymi artykułami delikatesowymi oraz 25 kawiarni

i restauracji, gdzie posmakować można kuchni z różnych stron świata. W Galerii „Krakowskiej” znajdziemy też nowości wydawnicze, zarówno jeśli chodzi o książki i prasę, jak też multimedia.

Sklepy z tak rozmaitych branż (od butików, przez kawiarnie i restauracje, aż po supermarkety i sklepy z elektroniką) umożliwiają kompleksowe zakupy bez konieczności biegania po całym mieście. Oprócz kumulacji branż magnesem przyciągającym klientów jest też bardzo dobry dojazd, gdyż Galeria „Krakowska” znajduje się zasadniczo w centrum węzła komunikacji miejskiej (dojeżdżają tu zarówno autobusy, jak i tramwaje), a dodatkowo ulokowana jest tuż obok dworców PKS i PKP.

Należy wspomnieć też o 1400 miejscach parkingowych przy Galerii (z pierwszą godziną parkowania gratis!), co w tak zatłoczonym mieście jak Kraków jest nie lada gratką. Wreszcie na koniec dyrekcja Galerii zapewnia, iż dołożono wszelkich starań, aby zakupy przebiegały w miłej atmosferze i – uwaga – BEZ POŚPIECHU! W tym celu przeprowadzono specjalne szkolenia obsługi.

Aby przekonać się, jak jest faktycznie, najlepiej odwiedzić Galerię „Krakowską” już dziś! W dni powszednie otwarta jest od godz. 9.00 do 22.00, a w niedziele od 10.00 do 21.00.

Bartłomiej Misiniec

Fot. Michał Pawłowski

Flowe **NOWA HUTA**

Przez wiele lat
„pierwszym
socialistycznym
miastem” pod
Krakowem
nikt się nie
interesował,
było swego
rodzaju piętnem,
wyrokiem



Plac Centralny

Od pewnego czasu coraz bardziej atrakcyjnym i podejmowanym przez wielu tematem stała się Nowa Huta, „pierwsze socjalistyczne miasto Polski”. Powoli wdrażane są w życie projekty mające na celu promowanie tego tak odległego kulturalnie miejsca w podwawelskim grodzie. Odległego... bo dla sporej części osób, niestety, Kraków istnieje wyłącznie gdzieś pomiędzy Barbakanem a Wawelem.

A jednak Nowa Huta, dla rodowitych krakusów wciąż szara i zamknięta, staje się powoli jedną

z atrakcji turystycznych naszego miasta. Dzieje się tak za sprawą Towarzystwa Miłośników i Rozwoju Nowej Huty, które z coraz większym zapałem podejmuje się walki ze stereotypowym postrzeganiem tego właśnie „zakątka” Krakowa. Wszystkie ich pomysły można śledzić na łamach czasopisma „NOWA HUTA”, które ukazuje się wprawdzie nieregularnie i dostępne jest wszędzie z wyjątkiem kiosków, ale w którym zostaje podjętych sporo ważkich tematów.

Członkom TPNH chodzi o to, by uzupełnić wreszcie „lukę kulturalno-społeczną”. Przez wiele lat Nową Hutą nikt się nie interesował, była ona swego rodzaju piętnem, wyrokiem. Już rozpoczęła się akcja pod hasłem „Nowa Huta Non Stop”, która ma za zadanie promocję najważniejszych miejsc dzielnicy. Istnieją nawet plany, aby dzielnica stała się jednym z głównych programów szlaków turystycznych po Krakowie dla gości przybywających do naszego miasta.



Teatr Ludowy

A do zaproponowania jest naprawdę wiele, np. Szlak Kombinatoru czy choćby Szlak Twierdzy „Kraków”, czyli austriackie forty powstałe w latach 80. i 90. XIX w. jako część fortyfikacji tworzonego wtedy zewnętrznego pierścienia obronnego Twierdzy „Kraków”, które w listopadzie i grudniu 1914 r. brały udział w walkach podczas tzw. bitwy o Kraków, stoczonej na północ i wschód od miasta.

Dla niektórych Nowa Huta, a właściwie jej architektura, może się okazać świetnym studium socrealizmu, który w naszym kraju dominował w latach 1949-1956 i który wtargnął w zasadzie we wszystkie dziedziny sztuki. Kino „Sfinks”, Teatr Ludowy, kopiec Wandy to tylko kilka miejsc wartych poznania. Jedną z bardziej poruszających stała się inicjatywa Adama Gryczyńskiego „Nowa Huta – czas zatrzy-

many – przed i po lokacji 1949 r. – dokumentacja”, mająca na celu gromadzenie fotografii ukazujących ludzi, ich życie codzienne, architekturę, przemysł i wydarzenia w Nowej Hucie oraz na terenach, które wchłonęła po 1949 r.

Dla wszystkich chcących wziąć bezpośredni udział w promocji, przygotowano serię gadżetów: koszulek, bluz i czapek z napisami „I love NH” czy po prostu „Nowa Huta”. Pomysłów jest bez liku. Gratulacje dla pomysłodawców. Warto im życzyć wytrwałości w realizacji całego przedsięwzięcia. W końcu od tego zależy wizerunek całego naszego „nowego” Krakowa.

Kinga Zielińska

Zdjęcia Nowej Huty: www.nh.pl



Osiedla Wandy i Willowe

NOWYKRAKOW.PL

W nocy z 29 na 30 października, z inicjatywy studentów i absolwentów Uniwersytetu Jagiellońskiego oraz Krakowskiej Szkoły Wyższej, pod patronatem Stowarzyszenia Gmin i Powiatów Małopolski, został uruchomiony nowy krakowski portal internetowy www.nowykrakow.pl

Jako pierwsze tego typu forum wymiany opinii, zarówno o starym, jak i nowym Krakowie, portal opisuje wszystko, co ważne, unowocześnione, innowacyjne i niepowtarzalne.

Nowykrakow.pl jest interaktywną platformą wymiany opinii młodych, energicznych, gotowych na zmiany, zdolnych i otwartych, pełnych pomysłów ludzi niebojących się patrzeć w przyszłość, czekających na rozbudowę i rozwój miasta.

Głównym celem portalu jest zintegrowanie wszystkich zainteresowanych dynamicznym unowocześnieniem Krakowa, dostrzeganiem w nim nowych niepowtarzalnych technologii, ciekawych i oryginalnych osobowości, szaleńczego nocnego życia i centrum biznesu. W ten sposób inicjatorzy chcą pokazać, że Kraków jest miastem przyszłości; wysokiego poziomu rozrywki, inwestycji, dynamicznego postępu technologicznego, ale także najbardziej odpowiednim miejscem na fizyczny i intelektualny wypoczynek. Portal ma pokazać, że Kraków to nie tylko historyczne miasto, ale także dysponujące ogromnym potencjałem dla nowych przedsięwzięć.

Karolina Świerad



Gry przestały być infantylną zabawą. Obecnie poruszają poważne problemy życia codziennego. Do tego stały się tak bardzo złożone, że możemy mówić o tworzeniu prawdziwej alternatywnej rzeczywistości

Nałóg

– gra komputerowa

Oprócz nałogów palenia tytoniu, picia nadmiernych ilości alkoholu czy brania narkotyków istnieją inne, mniej popularne uzależnienia. Nierzadko są one jednak równie poważne w skutkach. Utrata poczucia rzeczywistości, rozpadające się związki małżeńskie,

poważne naruszenie systemu wartości, a nawet śmierć – tak dla niektórych kończy się przygoda z grą komputerową. Co takiego potrafi przyciągnąć gracza do monitora aż do tego stopnia, że przestaje mu zależeć na czymkolwiek innym niezwiązanym z grą?

Idea gier komputerowych zrodziła się wraz z powstaniem pierwszych komputerów. Początkowo pisali je programiści amatorzy. Były to proste aplikacje z raczej symboliczną grafiką i banalnymi zasadami. Mijały lata. Komputery pojawiły się w wielu mieszkaniach i popyt na gry wzrósł gwałtownie. Powstawały coraz to nowe, lepsze produkcje.

Olbrzymi postęp w dziedzinie komputerów zaowocował wspaniałymi maszynami o wielkiej mocy obliczeniowej. Gry z prymitywnego zbioru punkików na ekranie monitora stały się interaktywnymi filmami, w których mamy możliwość uczestniczenia. Nad nowymi tytułami ciężko pracują latami całe sztaby wysoko wykwalifikowanych programistów. Przestała to już być zabawa w pisanie zabawnego programiku. Rynek gier komputerowych stał się wielką komercyjną machiną, niewiele mniejszą od rynku fonograficznego i nierzadko przynoszącą niewiele mniejsze zyski. Nic więc dziwnego, że powstały wielkie firmy zajmujące się produkcją i dystrybucją. Każda, nastawiona na jak największy zysk, dba o swoich klientów, tworząc niesamowicie grywalne programy.

Obecne technologie stosowane w sprzęcie nowej generacji pozwalają na tworzenie wielkich interaktywnych światów, które żyją własnym życiem. Graficznie nowe tytuły niewiele już się różnią od tego, co widzimy na co dzień. Za świetny przykład może posłużyć tu druga część gry „Half Life”. Świat HL obserwujemy z perspektywy pierwszej osoby, czyli oczami bohatera, którego losami kierujemy. Poruszamy się nim po fikcyjnym mieście przyszłości, w którym realizm widoczny jest na każdym kroku.

Jakże wielkie było moje zaskoczenie, gdy zauważyłem, że w połyskującej stali lufy mojej broni dostrzec mogę zniekształcone odbicie otoczenia. Było to lustrzane odbicie miejsc tak bardzo wierne rzeczywistości, z którą stykam się na co dzień. Zniszczone kamienice, ulice, zachmurzone niebo, trawa i drzewa uginające się pod naporem wiatru – wszystko tam było takie prawdziwe. Horyzont i niebo wraz z oślepiającym słońcem odbijały się w tafli jeziora, obraz pod wodą natomiast optycznie załamywał się. Prawa fizyki odtworzono tam tak doskonale, że gra niewiele ustępuje rzeczywistości.

Nim spojrzałem na zegarek, minęły dwie godziny, a ja zachwyciłem się tylko interaktywnością świata gry. Gdy zacząłem wnikać w fabułę, już zupełnie nie miałem ochoty odrywać się od ekranu. Spotkałem wirtualne postacie, które zachowywały się i wyglą-

dały tak naturalnie. Za mimikę postaci odpowiadało 40 wirtualnych mięśni. Przy użyciu odrobiny wyobraźni czułem się, jakbym obcował z prawdziwymi ludźmi. Przez tych parę godzin czułem, że jestem kimś innym, że jestem samym Gordonem Freemanem, pracownikiem kompleksu badawczego. Realizm rozgrywki sprawił, że poczułem się tak, jakbym naprawdę tam był, jakby przyszłość napotkanych wirtualnych bohaterów zależała ode mnie. A byli oni tak bardzo ludzcy. Mieli swoje usposobienie, uczucia. Czułem, że robię coś wielkiego.

Wstyd się przyznać, ale przygoda z „Half Life 2” wciągnęła mnie do tego stopnia, że zawałem sesję i nie obyło się bez egzaminów poprawkowych. Ja po prostu nie potrafiłem usiedzieć nad książką, gdy wiedziałem, że w parę minut mogę się przenieść do pełnego wyzwań świata gry. Świata, w którym mogę robić wszystko bez konsekwencji w rzeczywistości.

Graczem jestem od dziecka i zawsze potrafiłem znaleźć czas na pracę i rozrywkę. Tym bardziej przeraża mnie fakt, iż właśnie mnie, doświadczanego gracza, gra potrafiła zająć do tego stopnia, iż zawałem parę ważnych spraw. Jak bardzo wobec tego musi ona działać na osobę mniej doświadczoną w wirtualnych bojach? Jak musi działać na młodego osobnika bez zbytniego poczucia odpowiedzialności? Na przykład na dziecko, którego system wartości dopiero się kształtuje. W zeszłe wakacje niepełnoletni Japończyk umarł z wykończenia organizmu przy pierwszej części gry „Half Life”. Grał non stop ponad pięć dni, żywiąc się pizzą i kawą. Usnął na klawiaturze i już się nie obudził. Nie była to pierwsza i ostatnia śmiertelna ofiara uzależnienia od gry komputerowej.

Pół roku temu wpadł mi w ręce tytuł, który sprawił, że sam na wiele godzin nie mogłem odejść od komputera. Był to „World of Warcraft”, gra, która w dobę po premierze sprzedała się już w liczbie 240 tys. sztuk. Dwa lata temu liczba graczy przekroczyła 6,5 miliona i wciąż rośnie. Wraz z nią rośnie liczba przypadków uzależnienia od gry. Powstały specjalne grupy wsparcia dla żon, których mężowie wpadli w sidła nałogu. Sam przez długi czas obserwowałem sensacje, jakie wywoływał „WoW” z dystansu. Bałem się trochę instalować ten tytuł na swoim dysku twardym, gdyż nie chciałem być jednym z uzależnionych i spędzać noce przed monitorem. W końcu jednak stwierdziłem, że skoro jestem świadomy zagrożenia, to nie dam się porwać. Że będę się umiał oderwać od komputera, kiedy zechcę. Po długim procesie instalacji w końcu sam stałem się jednym z bohaterów gry „WoW”.

Pierwsze wrażenie było piorunujące. Znalazłem się w olbrzymim lesie. Otaczały mnie wiekowe drzewa. Gdzieś tam promyki słoneczne przemykały na połacie gęstej trawy magicznie połyskującej od kropel rosy. Słyszałem szum liści, świergot ptaków, napotykałem dzikie zwierzęta. Jak się później dowiedziałem, las był tylko małą częścią świata tak gigantycznego, że potrzebowałbym kilku dni, żeby go całego zwiedzić. Dosłownie. Co więcej, świat ten istnieje w Internecie i swoją postać ma w nim każdy posiadacz gry. Przekonałem się o tym szybko, gdy podbiegłem do siedzącej w zamyśleniu dziewczyny. Okazało się, że była to Turczynka, która właśnie studiowała mapę lasu.

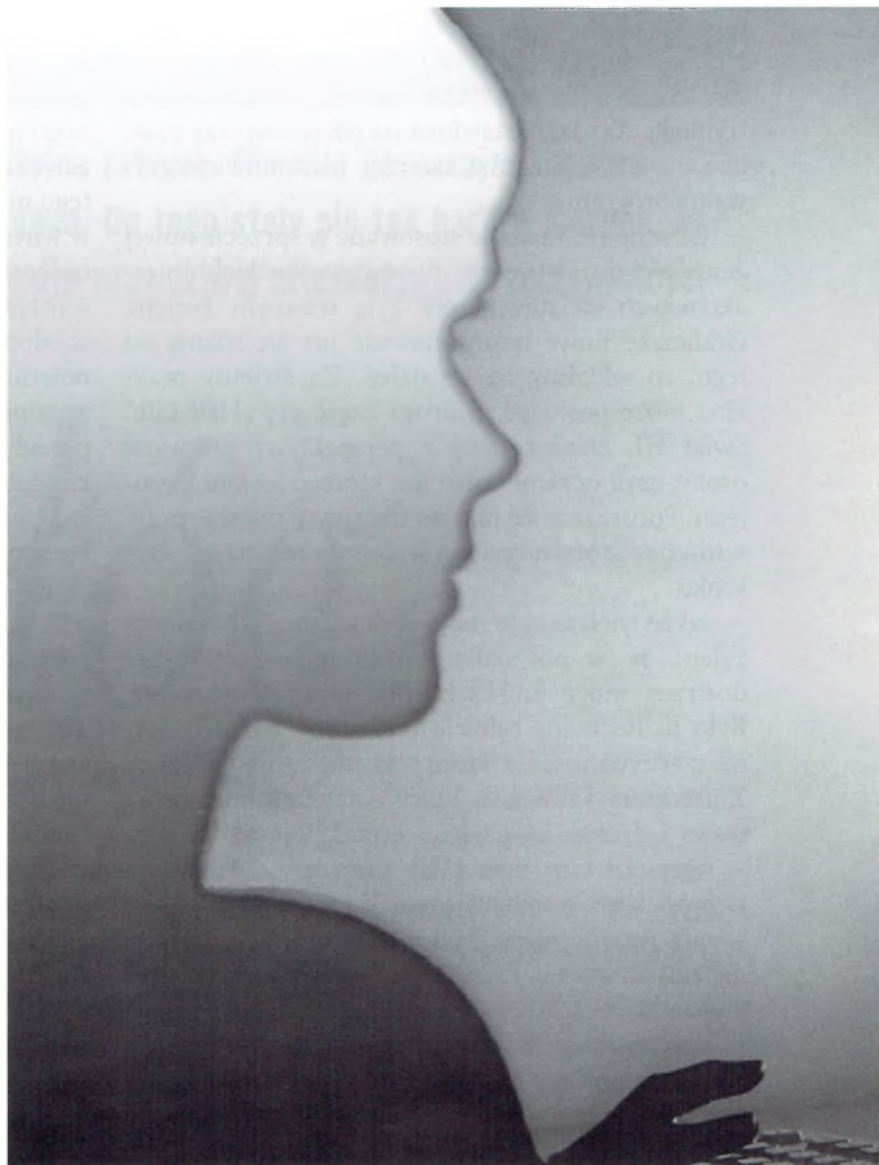
Chwilę później dołączył do nas jej przyjaciel narodowości włoskiej. Pomogli mi zdobyć kilka skór z niedźwiedzi i zaprowadzili do miasta, w którym owe skóry sprzedam, a za otrzymane pieniądze podniosłem standard swojego wyposażenia. Miasto roilo się od graczy ułatwiających tu wiele spraw. W samym rynku było tłumnio i głośno. Grupy rozmawiały ze sobą, przekazywano sobie informacje „ze świata”, żartowano, flirtowano, prowadzono zaciekle dyskusje. Na targu rozkwitał handel.

To miejsce żyło. Poczułem się niemalże jak na rynku w Krakowie. Szybko sam dołączyłem do jednej z grup. To było niesamowite przeżycie współpracować z osobami innej narodowości i kultury. W prawdziwym życiu nigdy nie miałem ku temu okazji. Świat „WoW” pełny jest graczy z całego świata, a możliwość interakcji z nimi niemalże nieograniczona. Szybko nauczyłem się tam wielu zdolności. Potrafiłem z odnalezionego płótna uszyć bandażę wspomagającą gojenie się ran po walce. Nauczyłem się gotować. Umiałem także z zbieranych ziół przygotować wywar, po którego wypiciu zyskiwałem specjalne zdolności.

Któregoś wieczoru jedna Polka proponowała mi wstąpienie do gildii, czyli swego rodzaju zamkniętej społeczności, partii. Jako „Szlachta”, bo tak nazywała się nasza gildia, mieliśmy swój regulamin, obyczaje, logo, styl ubierania się, swoją stronę internetową, a nawet forum. W pewnych kręgach byliśmy pozna-

wani i traktowani z szacunkiem. Mieliśmy także swoich wrogów. Przyjaciele ze „Szlachty” nauczyli mnie wielu rzeczy, razem ruszaliśmy walczyć z wrogiem, eksplorować obfitujący w bogactwa, ale i pełny niebezpieczeństw świat. To było niesamowicie ekscytujące.

Pamiętam, że po przystąpieniu do tej społeczności wpadłem już po uszy w nałóg. Był taki tydzień, kiedy zupełnie przestałem wychodzić z domu i grałem wciąż z krótkimi tylko przerwami na sen i jedzenie. Impulsem do udanej próby wyrwania się z tego transu stała się rozmowa z napotkanym w świecie „WoW” ponad 40-letnim mężczyzną, który opowiedział mi, jak jest teraz szczęśliwy, gdyż pokłócił się z żoną i ta zabrała dzieci i sama pojechała z nimi na narty. Człowiek ten był tak zamroczony magią gry, że w zaistniałej sytuacji widział



tylko ten plus, że teraz siedząc w samotności w domu, ma mnóstwo czasu, aby w spokoju grać. To zdarzenie uświadomiło mi, iż sam z coraz to większą obojętnością podchodzę do rzeczywistości. Jak wielka musi być siła tej gry, skoro dorosły człowiek, który pracuje i założył rodzinę, potrafi to wszystko zignorować dla czasu spędzonego przed komputerem?

Po przeanalizowaniu moich doświadczeń jako gracza mogę sformułować odpowiedź na pytanie zadane przeze mnie we wstępie. Gry komputerowe nie są już niewinną zabawą dla dzieci. Owszem, nadal produkowane tytuły adresuje się do najmłodszych użytkowników komputerów, jednak powstaje całe mnóstwo produkcji, których odbiorcami powinni być tylko dorośli. Ich przekaz nierzadko jest brutalny, pozbawiony zasad moralnych. Jednak

nie to akurat jest problemem najważniejszym, gdyż z brutalnością spotykamy się obecnie w mediach wszelkiego rodzaju. Według mnie problem tkwi w uzależniających właściwościach gier komputerowych. Dlaczego taki problem w ogóle istnieje?

Jak pisałem wcześniej, gry przestały być infantylną zabawą. Obecnie poruszają poważne problemy życia codziennego. Do tego stały się tak bardzo złożone, że możemy mówić o tworzeniu prawdziwej alternatywnej rzeczywistości. Stały się interaktywnymi filmami; filmami, o których przebiegu decydujemy my sami i to od nas zależy ciąg dalszy i zakończenie. Gracze to już nie tylko dzieci, ale ludzie w każdym wieku. Dlaczego gramy? Tłumaczymy to zwykłą chęcią zbadania nowości, która wychodzi na rynek. Jednak myślę, że tym, co każe nam siedzieć godzinami przed komputerem, jest chęć ucieczki od szarej rzeczywistości dnia codziennego, od problemów nas nękających.

Nie przypomina wam to wyznań alkohola, czy narkomana uciekających w nałóg, by zapomnieć? Oni także zaczynali ze świadomością, że mała ilość nie szkodzi, że będą umieli we właściwym momencie powiedzieć sobie „stop”. Potężnym magnesem przyciągającym graczy do komputera jest też brak konsekwencji w działaniach. W grze możemy kraść, niszczyć, wykorzystywać seksualnie, zabić, umrzeć, a potem zacząć od nowa. Czy aby jednak na pewno, grając, nie ponosimy żadnych konsekwencji? Bezpowrotnie tracimy przecież czas na błądzenie po alternatywnej rzeczywistości, podczas gdy w ciągu tych kilkunastu, kilkudziesięciu czy kilkuset godzin spędzonych przed monitorem moglibyśmy sprawić, by nasze prawdziwe życie stało się piękniejsze.

Podsumowując, sądzę, że uzależnienie od gier komputerowych stanie się jednym z problemów XXI w. I to problemem globalnym o poważnych konsekwencjach. Myślę, że rodzice powinni się zainteresować tym, czym się zajmują ich pociechy, siedząc przy monitorach, a w wypadku symptomów uzależnienia reagować delikatnie, ze zrozumieniem, tak by dziecko nie potraktowało ich jako kogoś, kto chce mu odebrać coś, bez czego taki uzależniony młody osobnik nie wyobraża sobie życia.

Piotr Dzik

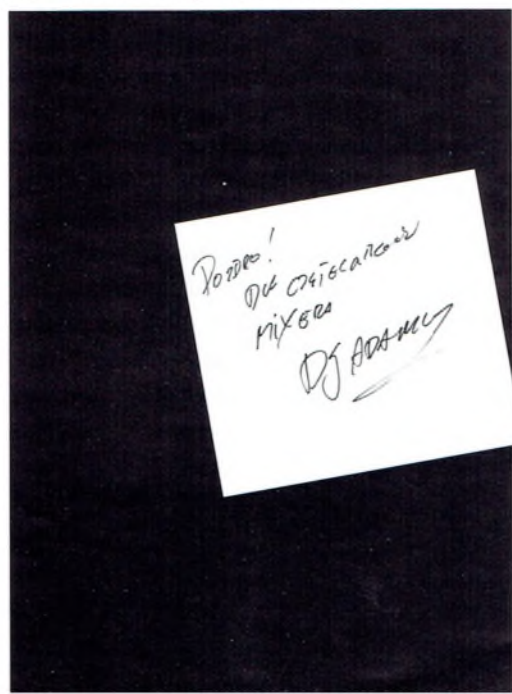
Fot. Michał Pawłowski;
obróbka cyfrowa: Joanna Sroka





Granie na plaży od zachodu do wschodu słońca to rzecz niepowtarzalna...

rozmowa z Dj Adamusem



Dj Adamus:

remixer, kompozytor, producent muzyczny, dziennikarz, muzyk, ale przede wszystkim Dj znany z programu *Kuba Wojewódzki*. Urodził się w 1975 r. w Opolu, do 2001 roku mieszkał tam, pracował i uczył się, od 2001 mieszka w Warszawie. Od 1993 r. związany z opolskimi, lokalnymi rozgłośniami radiowymi takimi jak Radio Park, Radio Prokolor, Radio Plus, Radio Ole. Współpracował z lokalną prasą opolską, a także miesięcznikiem BRUM i PLASTYK, do czasu zamknięcia tytułów. Od 2000 roku zaczął być rozpoznawalny jako Dj i jako Sound System POZYTYWKA w kraju i za granicą. Obecnie jest chyba najbardziej znanym polskim Dj. Gra we wszystkich najlepszych klubach w Polsce.

Z Adamusem udało mi się spotkać podczas jego występu w jednym z krakowskich klubów. Zobaczcie, co powiedział w wywiadzie tylko dla *Mixera*:

Szymon Wróbel: Adamie, spotykamy się dziś w wyjątkowy dzień: piątek trzynastego, więc muszę o to zapytać: jesteś przesądny?

Adamus: Powiem tak: jeżeli zsumujesz numery na mojej tablicy samochodowej, to wyjdzie 13; jeżelibyś zobaczył dzień urodzin moich i mojej mamy, to wychodzi 13, ponadto mieszkanie, które wynajmuję, nosi numer 13... Więc w piątek, trzynastego, czuję się jak ryba w wodzie.

Studiowałeś politologię. Jak wspominasz tamten okres?

To było trochę zabawne, bo zaraz, jak tylko mogłem, przeszedłem na tzw. indywidualny tok nauczania. Już wtedy w głowie miałem granie, poza tym pracowałem w radiu. Więc ze studiów wspominam jedynie samo życie studenckie, ten pierwszy rok jako bardzo imprezowy. Potem było tylko zdawanie egzaminów. Ta nauka po prostu przyszła i poszła nawet nie wiem kiedy...

Chcesz powiedzieć, że prześlizgnąłeś się przez studia?

Można tak to określić, bo nawet nie odczuwałem, że studiuje.

Trochę uprzedziłeś moje pytanie, bo chciałem cię spytać o początek twojego grania. Podobno zaczęło się od LO i gitary?

LO to był początek. Założyliśmy z moim przyjacielem zespół na dwie gitary akustyczne, żeby podrywać dziewczyny. Ale, tak serio, to ta muzyka zawsze mnie kręciła. Pierwsza była gitara, bo nikt wtedy nie wiedział, kto to jest Dj albo Dj kojarzył się z facetem z dyskoteki, a w związku z tym, że byłem mocno zaangażowanym undergrandowcem, dyskoteka źle mi się kojarzyła.

Powiedziałeś kiedyś: „House zawsze wydawał mi się dość prymitywny, do momentu, kiedy nie przegryzłem się

przez wszystkie stopnie w tej muzyce”. Co to za stopnie?

House wydawał mi się prymitywny, bo kojarzył mi się z muzyką dyskotekową z disco-house'em w tempie 125, 126, 127. Człowiek nie odczuwa, co można w nim zrobić, że można przyspieszyć, zwolnić, rozpocząć spokojnie, a cały czas siedzi się w jednym matematycznym tempie, i to jest genialne w tej muzyce.

Jesteś Dj, dziennikarzem, kompozytorem, remixerem, jak również producentem muzycznym. Wraz z Madame Tinto założyłeś wytwórnię „Topless Rekord”. Jak się dziś miewa twoja wytwórnia?

Wytwórnia miewa się dobrze. Produkcja Wet Fingers „Hi fi superstar” odniosła sukces, można powiedzieć popkulturowy w Polsce. Teraz właśnie kończymy teledysk. Winyl sprzedaje się dobrze jak na polskie warunki. Pojawiało się zainteresowanie tym utworem z Zachodu, więc jesteśmy zadowoleni. Ale to niezależna wytwórnia, która nigdy nie będzie przynosić kokosów, bardziej zaś służy promocji artystów związanych z tą wytwórnią. Uważam, że wiązanie się z dużymi wytwórniami nie ma sensu, lepiej jest zrobić coś małego, swojego, a później sprzedawać już tylko gotowe produkty – utwory, teledyski, i wtedy to ma sens.

Chcesz powiedzieć, że muzyka klubowa może się stać muzyką komercyjną?

Myszę, że ona już się poniekąd stała muzyką komercyjną. Komercja bowiem oznacza coś, co ma swoich nabywców, naśladowców. Muzyka klubowa, bez względu na to, czy jest spokojna, lekka, przyjemna, czy ostro „pojechana”, dziwna, to tak naprawdę powinna mieć szerokie odbiorcę, i to powoduje, że jest już popkulturowa – oczywiście w dobrym tego słowa znaczeniu.

„Romeo i Julia” w reżyserii Janusza Józefowicza. Już wiesz, o co chcę spytać...?

Jeszcze nie do końca. Czyżby o mój stosunek do Janusza Stokłosy...?

...tak, tworzyłeś z nim muzykę do tego spektaklu!

Jestem bardzo zadowolony z tego, że Janusz Józefowicz zaprosił mnie do owego projektu. Mogłem stanąć oko w oko z prawdziwym kompozytorem po szkole, z dużym doświadczeniem. Mam dla niego wielki szacunek, w muzyce musicalowej jest niedościgniony. Praca z nim była niesamowitym doświadczeniem, dała mi bardzo dużo do myślenia, jeżeli chodzi o komponowanie muzyki. Mam nadzieję, że on również nauczył się czegoś ode mnie, bo wprost mi powiedział: „Adam, ja się nie znam na muzyce klubowej, zależy mi na tym, żebyś ty to robił”. Bardzo miło wspominam tamto wydarzenie. Do mojej muzyki coś z tego na pewno przeniknęło.

W każdym wywiadzie pytany jesteś o związek z Kubą Wojewódzkim...

Tak, ale przyzwyczałem się do tych pytań. Po czterech latach są tendencyjne i nic nie wnoszą do rozmowy.

Więc pozwolisz, że ja nie będę już o to pytał...

...bardzo mnie to cieszy.

Ostatnio panuje u nas moda na hiszpański. Twierdzisz, że jesteś zakochany w tym kraju. Jak wygląda muzyka klubowa w Hiszpanii w porównaniu z Polską?

Hiszpanie mają podobny temperament i mentalność do Polaków, są rodzinni, ciepłi, przyjacielscy w odróżnieniu od zimnych Anglików, dlatego dobrze odnajdujemy się w tym kraju. Muzycy nie znajdują się ok. 2-3 lat przed nami, co nie znaczy, że to lepiej, bo tam muzyka klubowa już się mocno podzie-

liła na różne nurty. Jest disco-house, latino-house, muzyka niezależna, elektro. A u nas dominuje ciągle jeden nurt i na jednej imprezie można spotykać Dj grających mocniej, lżej. Ale według mnie to jest mimo wszystko fajniejsze, niż to, co się tam dzieje.

Granie na czterech gramofonach na plaży w Łebie z KaMilem nazywane jest twoim spektakularnym sukcesem. Jak to wspominasz?

To było coś niesamowitego, bo wtedy debiutowaliśmy z KaMilem. Tego nie da się opisać, byliśmy wówczas młodymi ludźmi, zafascynowanymi muzyką. Jechaliśmy na plażę, gdzie byliśmy zaproszeni, nie wiedząc, że przyjdzie 3,5 tysięcy osób i zderzymy się z taką rzeszą ludzi, którzy chłoną tę muzykę. W ogóle granie na plaży od zachodu do wschodu słońca to rzecz niepowtarzalna.

Sylwester 2002 r., Rynek Główny w Krakowie, 90 tysięcy ludzi pod sceną, a na niej Ty. Co się wtedy czuje?

Nie mogłem wówczas grać z gramofonu, tylko posiłkowałem się CD, bo tak mi się ręce trzęsły. Byłem mocno zestresowany. Granie dla olbrzymiej rzeszy ludzi, którzy tak naprawdę przyszli dla Kasi Kowalskiej, albo dlatego, że jest po prostu sylwester, mobilizuje, a zarazem ułatwia, bo lepiej gra się taki koncert dla ludzi oczekujących dobrej zabawy niż dla 90 tysięcy kibiców przez meczem. Takiego występu nie powtórzyłem do tej pory, niesłychanie miło go wspominam.

Chciałbyś zrobić to kiedyś raz jeszcze?

Chętnie bym spróbował.

Już nie trzęsłyby ci się tak ręce?

To jest tak, że każda impreza niesie ze sobą tremę, mniejszą czy większą. Ale ja uważam, że po to są wyzwania, żeby je brać i... wygrywać.

Na koniec zmienię temat. Znany ci pewnie kompozytor Tomasz Stańko powiedział kiedyś: „Muzycy zawsze podrywają na swoje instrumenty”. Jak to jest u ciebie. Podrywasz na konsolę?

Bardzo się cieszę, że wspomniałeś o Tomaszu Stańce. Właśnie jadąc tutaj, słuchałem jego najnowszej płyty, już chyba 4. czy 5. raz, i dopiero teraz zaczynam się przez nią przegryzać. Stańko to świetny kompozytor, jego filozofia życiowa jest bardzo kontrowersyjna, bo wiele w życiu przeszedł. Ale coś jest w tym, co powiedział. Muzyk zawsze dominuje nad tłumem, a muzyka niesie za sobą falę mistycyzmu, więc dziewczyny ciągnie do gitarzystów, „sexopolistów”... Teraz jest moda na Dj, ja jestem nim od ponad 10 lat, ale nie wiem, czy idę z tą modą. Cieszę się jednak na pewno, że ten zawód staje się popularny, wychodzi z cienia i ludzie dostrzegają, iż Dj to nie jest tylko człowiek, który puszcza płyty, ale też ktoś, kto musi się odznaczać poczuciem rytmu, znać muzykę i mieć jej świadomość.

Wspomniałeś, że lubisz Tomasza Stańkę. On sam o sobie mówi, że jest tak trudnym człowiekiem, iż będąc w związku, nie jest w stanie mieszkać z kobietą w jednym mieszkaniu...

Wiesz, myślę, że z artystami jest duży problem, bo oni po tych szaleńczych weekendach potrzebują spokoju. Różnie to bywa, można go znaleźć w domu albo w samotności. Muzycy to dziwni ludzie. Mnie trudno mówić za innych, ale i ja dostrzegam u siebie, że po powrocie do domu cały czas szukam spokoju, wyciszenia. Chcę się wtedy zamknąć z muzyką i szukać jej nowych obszarów. Samotność sprzyja kreacji, twórczości podobnie jak cierpienie, ale to właśnie w samotności można odnaleźć trochę cierpienia, wytchnienia i dystansu do rzeczywistości.

Ty cierpisz?

Czasami oczywiście tak, choć ostatnio jest bardzo pozytywnie. Za chwilę nastanie jednak zima i na pewno będę cierpieł.

Rozmawiał
Szymon Wróbel

Podpis!
Dla czytelników
MIXERA
DJ ADAM



Książka Harlana Cobena „Nie mów nikomu” bije rekordy popularności



Nowy... Robert Ludlum!

Czy kiedykolwiek czytaliście książkę, która tak wami zawładnęła, że nie potrafiliście się od niej oderwać? Jeśli odpowiedź jest negatywna, zachęcam do lektury książek współczesnego mistrza thrillera, Harlana Cobena.

Ten porównywany zarówno do Agaty Christie, jak i Roberta Ludluma pisarz to nowa megagwiazda literatury kryminalnej, a jego powieści podbijają światowe listy bestsellerów. Nieoczekiwane zwroty akcji, doskonale zawikłana intryga, fałszywe tropy, mistrzowsko stopniowane napięcie i apogeum, czyli zaskakujące zakończenie, którego nie domyśliłby się najbardziej nawet przenikliwy czytelnik, to podstawowe cechy jego pisarskiego stylu. I wcale nie trzeba być „molem książkowym” i mieć na koncie setki przeczytanych książek, żeby zabrać się do czytania thrillerów Cobena i pozwolić, by zahipnotyzowały nas bez reszty.

Harlan Coben zdobył uznanie opublikowaną w 1995 roku powieścią sensacyjną „Bez skrupułów”. Niedługo potem otrzymał trzy najbardziej presti-

żowe nagrody literackie dla współczesnego autora w kategorii „Powieść kryminalna”, w tym najważniejszą – *Edgar Poe Awards*. W 2001 roku wydał thriller pt. „Nie mów nikomu”, który natychmiast zachwiał listą bestsellerów w wielu krajach, czyniąc z Cobena najchętniej czytanego pisarza owego gatunku literackiego w Polsce i na świecie.

Wysokobudżetowy film oparty na książce znajduje się w fazie produkcyjnej. Kolejne powieści Cobena: „Bez pożegnania”, „Jedyna szansa”, „Krótka piłka”, „Jeden fałszywy ruch”, „Tylko jedno spojrzenie” czy „Niewinny”, cieszyły się nie mniejszą popularnością. Jego najnowszy thriller nosi nazwę „Błękitna krew” i znika z księgarń w równie szybkim tempie.

Zdecydowanie największe wrażenie, w stosunku do pozostałych, robi na większości czytelników thriller pt. „Nie mów nikomu”. Już sam tytuł sugeruje pewną intrygę i konspirację. Głównym bohaterem jest młody lekarz, David Beck, którego żona, Elizabeth, zginęła z rąk seryjnego mordercy. Od jej

śmierci mija osiem lat, gdy nagle Dawid otrzymuje pocztą elektroniczną wiadomość zawierającą niezbity dowód na to, że ona żyje. Wydaje się to niemożliwe, ale Beck rozpoczyna śledztwo na własną rękę, ignorując tym samym ostrzeżenie „Nie mów nikomu”. Ślady sedna tej zagadki wiodą w daleką przeszłość...

Coben ukazuje w swych powieściach, jak drastycznie, w jednym momencie, nasze życie może się wywrócić do góry nogami. Jego bohaterami są zwykli, prości ludzie, którzy wiodą niczym niewyróżniające się i niewychylające się od normy życie. Czytając jego książki, odnosimy wrażenie, jakby był to całkiem inny świat i wydarzenia całkowicie nas nie dotyczą, gdy tymczasem nawet w naszej szarej rzeczywistości zdarzają się dokładnie takie rzeczy, o jakich pisze Coben...

Często, czytając jego thrillery, zastanawiam się, jak bym się zachowała na miejscu bohaterów Cobena. Najczęściej biorą oni sprawy w swoje ręce i dążą do całkowitego ich wyjaśnienia. Muszę przyznać, że choć są to zwykli ludzie, cechuje ich ogromna odwaga, cierpliwość i trzeźwe myślenie. Wydaje mi się, że niejeden z nas już dawno by się poddał i pozwolił życiu toczyć własnym torem.

Zachęcam zatem do sięgnięcia po książkę Harlana Cobena przy następnym dylemacie typu: „Co by tu ciekawego przeczytać?”, i skonfrontowania jej z własnym życiem, z własnymi refleksjami oraz z własną rzeczywistością. Uruchomcie wyobraźnię i... do dzieła!

Karolina Świerad

Tłuste bity, dobre rymy, czyli polski hip-hop z najwyższej półki

„Piątek 13”

Fisz i Emade wydali nowy album. „Piątek 13” to trzynaście utworów plus bonus. Na tej płycie bracia Waglewscy w rewelacyjnym stylu powracają do gatunku, od którego rozpoczęli swą przygodę z muzyką. Tłuste bity, dobre rymy, czyli polski hip-hop z najwyższej półki. Warstwa muzyczna przyrządzona została wyśmienicie. *Brzmi surowo niczym nasz debiut „Polepione dźwięki” czy płyta „Na wylot”.* Tekstowo to ironiczno-sarkastyczna gra skojarzeń, *czasami bardzo trzeźwo stąpająca po ziemi* – opowiada o płycie Fisz. Na żadnej z dotychczasowych płyt gość nie rymował tak dużo. Teksty dotyczą jego samego. W pierwszym utworze zastanawia się: *Co bym robił, gdyby nie moje bla bla bla*, dalej mowa jest o narkotykach, a w innym kawałku o tragicznej historii „Nielegalnego towaru”, czyli kobietach. „Imitacje” z kolei to przytyk pod adresem płci pięknej, dla której najważniejsze są metki przyszyte do ubrań: *Ona ma złote serce, trzyma je w portmonetce, imitacji nie zechce.*

Płytę ubarwiają Envee, Jurek Zagórski, Bunio, Iza Kowalewska, Pablo Huidini, Ada i Antek oraz w bonusowym tracku O.S.T.R. Zagorzali fani „Pana wielkie brwi” z pewnością będą zachwyceni „Piątkiem 13”. Pozostali, lubiący ambitną muzykę, też się raczej nie rozczarują.

deEr

Owey używce zadedykował swą
kantatę... Jan Sebastian Bach

Łatwiej zmienić religię niż *kawę*

Gorąca, dobrze przyrządzona, elegancko podana, najlepiej w miłym towarzystwie i nastrojowej, klimatycznej aranżacji pomieszczenia... Relaksuje, daje chwilę wytchnienia, rozkoszy, odpoczynku. Rozluźnia. Często jest najmiłym momentem dnia. Myśl o niej sprawia nam radość i poprawia humor, a jej spożywanie to niezwykła przyjemność. Może jest to dziwne, a może nie, ale takie stany i skojarzenia często przywołuje... kawa. Zwykły trunek? A jednak inny niż wszystkie...

Słowo *kawa* pochodzi od arabskiego wyrazu *kahwe* ('siła podnosząca'). Kawa ma burzliwą i intrygującą historię. Była produktem pożądanym i rozpowszechnianym przez kolonizatorów w XVIII w., bo zapewniała duże zyski. Dzisiaj jej produkcja wynosi rocznie 6,9 mln ton, a ona sama stanowi jeden z najważniejszych towarów na światowym rynku.

Spożywanie kawy było początkowo muzułmanom zabronione, ze względu na właściwości pobudzające. Porównywano ją do wina i innych napojów wysokoprocentowych, podnoszących ciśnienie. Również chrześcijanie długo nazywali kawę napojem szatańskim. Ponoć Archanioł Gabriel zaszerwował ją osłabionemu i przemęczonemu Mahometowi, a ten uraczony smakiem i niezwykłymi właściwościami, nazwał ją *kawhe* lub *gavah*, co – jak już wspomniałam – oznacza 'siłę podnoszącą'; napój odurzający.

Do dzisiaj kawa jest napojem topowym. Ma niezliczone rzesze zagorzałych wielbicieli. Ale czyż można się jej oprzeć? Po co? Czasami wydaje mi się, że jest jedyną rzeczą, która trzyma mnie przy życiu (tutaj mała i intymna dygresja). Często kawa jest dla nas niczym sacrum, a jej spożywanie ma wręcz charakter obrzędu. Jest celebrowane, stanowi nierozdzielny komponent naszego życia, a właściwie jego stylu i jakości. Kultura picia kawy wiele potrafi powiedzieć o naszej osobowości, postrzeganiu świata, otoczenia. Ponoć nasz stosunek do niej, a konkretnie to, w jaki sposób ją opisujemy i kojarzymy, odzwierciedla nasze libido (taaak... teraz każdy powinien szybko szukać w głowie najbardziej wyszukanych i nietuzinkowych peryfraz, polećtać swoje zachłanne ego).

Przyrządzanie kawy i jej receptura to niezwykle cenione umiejętności. Determinują jej jakość, stanowią o renomie kawiarni. A te naprawdę profesjonalne i fachowe są jak książkowe bestsellery na rynku. Bo dobrze zaparzona i podana kawa to niczym dzieło sztuki.

W arabskiej tradycji picia kawy nierozdzielnym elementem jej spożywania było palenie fajki wodnej (tzw. *nargile*). W kawiarniach miały zwyczaj wisieć obrazki z wykaligrafowanymi cytatami z poezji (to zdaje się podtrzymywać *Café Philo* w Krakowie). W Etiopii natomiast, kolebce kawowca, przyjęcie gościa kawą trwało kilka godzin! Był to iście uroczysty ceremoniał. Ową nalewkę przyrządzała odświętnie ubrana gospodyni wraz z całym blichтром

O tym, że kawa znaczy dla nas więcej niż inne napoje, świadczą coraz częstsze imprezy, np. *Festiwal Kawy* w Starym Browarze w Poznaniu, *La Marzocco Espresso Show* czy *I Ogólnopolskie Spotkanie Miłośników Kawy*, Łódź 2006.

Honory oddawali jej jednak już artyści minionych epok. Na płótnie uwiecznili ją m.in. tacy wybitni malarze, jak Cézanne, van Gogh, Picasso i Monet. Swą kantatę zadedykował jej Jan Sebastian Bach. Wolter stwierdził, że *łatwiej zmienić religię niż kawę*. A w rodzimej literaturze jej zwyczaj picia znalazł opis na łamach kart *Pana Tadeusza*. Bohema artystów Młodej Polski namiętnie oddawała jej cześć w najstojniejszej krakowskiej kawiarni, *Jamie Michalika*, do dzisiaj istniejącej przy ul. Floriańskiej. W tej dekadencjonalnej epoce kawa była najpopularniejszym i najgorętszym, bo „codziennym hedonizmem”.

A jaką rolę odgrywa kawa dla was dziś? Czy sprowadza się jedynie do poziomu kolejnej używki, czy uważacie, że należy celebrować jej picie?

Roksana Rumińska

Czy dziennikarstwo ma przyszłość?

Zawodowe dziennikarstwo jest bez przyszłości. Dziś wszyscy jesteśmy dziennikarzami – oto teza debaty oksfordzkiej, która miała miejsce 14 listopada w sali Mehofferowskiej Wydawnictwa Literackiego. Dyskusja, prowadzona przez Piotra Legutkę, dziennikarza, miała na celu znaleźć odpowiedź na pytanie „Czy dziennikarstwo to powołanie?”. Wśród uczestników debaty, oprócz chmary studentów krakowskich uczelni, znaleźli się także Jerzy Sosnowski, autor książki „Tak, to ten”, obecnie dziennikarz radiowej Trójki, oraz Mariusz Ziomecki, były redaktor naczelny „Super Expressu”, obecnie szef redakcji „Przekroju”.

ZA TEZĄ...

To prawda, dziś wszyscy możemy być dziennikarzami, niekoniecznie mając przygotowanie warsztatowe. W Polsce wzrasta bowiem dziennikarstwo obywatelskie.

Dowodem na to jest fakt, iż wciąż zwiększa się liczba blogów, co pozwala na przekazanie ważnych treści w niedługim czasie. Obecnie 2 miliony osób w naszym kraju bloguje (nawet sami dziennikarze). Po drugie spada zaufanie do mediów – badania wykazują, że co trzeci Polak nie ufa temu, co zobaczy w telewizji, przeczyta w gazecie bądź usłyszy w radiu.

Dziennikarstwo powinno wyrastać ze społeczeństwa, które przecież ma do tego predyspozycje, sami bowiem jesteśmy najlepszymi obserwatorami i komentatorami bieżących wydarzeń. W końcu każdy z nas widzi, kojarzy fakty i wyciąga wnioski.

Warto zatem zastanowić się nad istotną rzeczą: czy ktoś, kto pracuje dla koncernu medialnego, może nam dostarczyć obiektywny komentarz, bądź obraz tego, co się dzieje na świecie? Szczerze, wątpię. Dziennikarz, chcąc nie chcąc, skazany jest na oportuizm. Pracując w stacjach komercyjnych musi nieraz zataić niepożądane informacje, lub uwypuklić inne, dla reklamy.

Wszyscy mamy umiejętności, potrzebną wiedzę, dostęp do środków, czysty ogląd rzeczywistości i najlepiej sami, każdy osobno tworzymy jej obraz. Wtedy będziemy mieć pewność, że będzie to niczym niezmacona prawda.

Katarzyna Skorupa

PRZECIW TEZIE...

Dziennikarstwo to przede wszystkim profesjonalizm. To także lata praktyki, intelektualnego przygotowania i zdobywania doświadczenia. To sztuka przekazania komuś czegoś, co ma przyciągnąć, zaciekać i oczarować. To wzbudzanie czyjegoś zaufania i tym samym zdobywanie pozycji. To skrupulatna wiedza na tematy historyczne, polityczne, kulturalne, religijne. To asertywność, kreatywność i uparte dążenie do celu. Dziennikarstwo to pasja. Powołanie...

Wielu ludzi uprawia teraz „dziennikarstwo”, to fakt. Powstają blogi, Internet rozprzestrzenił się na wielu płaszczyznach życia. Każdy potrafi (prawie) bezbłędnie napisać kilka zdań i uznać za artykuł informacyjny, zrobić wywiad czy bezbłędnie posługiwać się programem Microsoft Word. Są tacy młodzi ludzie, którzy potrafią nawet kręcić krótkie filmy, montować je, dodawać dźwięk, co można podpisać pod reportaż. Ale jest coś, czego im brakuje: profesjonalizmu.

Odbiorcy szukają wiarygodności. Stawiają na przygotowanie, znajomość tematu, obycie i etykę dziennikarską. Są wdzięczni dziennikarzom za to, że codziennie dostarczają im masy nowych tematów w zakresie życia politycznego, gospodarczego czy kulturalnego. To ciężka praca tak naprawdę, ale zastanówmy się co by było, gdyby ich zabrakło. W Internecie jest dużo informacji, owszem, ale jest także „sterta bzdur”, jak stwierdził redaktor Ziomecki. Zatem, aby wydobyć prawdę, trzeba byłoby się mocno przez nie przekopać. Mając przed sobą wiarygodną gazetę, stawiamy na wiarygodność dziennikarzy, którzy w niej pracują. Wierzymy im, ponieważ długo pracowali na to, by wzbudzić nasze zaufanie. Ale to jest ich misja, ich profesja, ich powołanie.

Wspomniany redaktor Ziomecki zobrazował pewien przykład. Wyobraźmy sobie sytuację wypadku samochodowego. Trzy przypadkowe osoby dzwonią na policję w celu zrelacjonowania wydarzenia. Stojąc po drugiej stronie słuchawki, usłyszymy trzy różne historie. Trzech dziennikarzy pisze na poczekaniu krótką notkę z wypadku. Tekst nie różni się, poza doбором słów, właściwie niczym. Dlaczego? Ponieważ dziennikarz ma w sobie to „coś”, co pozwala mu na idealną selekcję pewnych zdarzeń, dzięki czemu informacja staje się wiarygodna, obiektywna i profesjonalna.

Karolina Świerad

PS. Dyskusji oksfordzkiej i panelowej w Wydawnictwie Literackim przysłuchiwali się studenci KSW: Karolina Świerad, Katarzyna Skorupa, Bartłomiej Misiniec i Szymon Wróbel wraz z opiekunem red. Maciejem Malinowskim.

GRUDZIEŃ 2006

**teatr
KTO**

Teatr KTO
ul. Gzysików 8 Kraków
tel. 012 623 73 00
tel./fax 012 633 89 47
godz. 10–18
promocja@teatrkto.pl
www.teatrkto.pl

- 9.12 sobota** *Sprzedam dom, w którym już nie mogę mieszkać,*
Teatr KTO, godz. 18.00
- 11.12 poniedziałek** *Stryczek dla dwóch, czyli rzeź domowa,*
Teatr KTO, godz. 19.00
- 31.12. niedziela** *Sprzedam dom, w którym już nie mogę mieszkać,*
Teatr KTO, godz. 19.00

Bilety 30 i 20 zł



!Spektakl bez słów!

Sztuka Teatru KTO „*Sprzedam dom, w którym już nie mogę mieszkać*” inspirowany jest życiem i twórczością Bohumila Hrabala. Poza działaniami na scenie aktorzy anektują wszystkie możliwe przestrzenie teatru, prezentując etiudy wprowadzające widza w magiczny świat Hrabalowskich postaci. Na scenie zaś zobaczymy w groteskowej formie pokazane najważniejsze zdarzenia z życia człowieka – narodziny, chrzest, Pierwsza Komunia, ślub, pogrzeb. Historia teatralna opowiedziana charakterystycznym dla Teatru KTO językiem – brak tekstu, dużo wspaniałej muzyki – jest pełna niespodzianek i nieoczekiwanych rozwiązań.

„(...) wizualnie przedstawienie jest piękne (...).”

Sophie Middlemiss Fest, Edynburg

„(...) to perfekcyjne przedstawienie teatru ciała (...).”

Three Weeks, Edynburg

!Tragikomedia!

„*Stryczek dla dwóch, czyli rzeź domowa*” to historia oparta na prawdziwej historii mężczyzny, który przez dwadzieścia lat ukrywał się na strychu swojego domu, słuchając Radia Wolna Europa i czekając na przybycie wojsk amerykańskich. Sztuka była wystawiona po raz pierwszy w szczytnym Teatrze Polskim (1972) pt. „*Pętla dla dwóch albo szubienica domowa*”. Inscenizacja Teatru KTO korzysta z nowego przekładu Bogusława Kundy, przywracając oryginalny, nieocenzurowany tytuł. Jest to przedstawienie o tchórzostwie, biologicznym zegarze, pasożytnictwie, emocjonalnym szantażu i niespełnionych marzeniach.

„Widziałem, jak spółkujecie wy, bracia pajaki, i mogę wam powiedzieć, że jest to śmieszne i... i nie jest to ! Co najgorsze, wasze samczki są mocniejsze i zezrą swojego kochanka, jeszcze zmęczonego miłością. Wasze noce posłubne kończą się pogrzebaniami, a wasze panny młode w tej samej chwili stają się wdowami!”

„Mam sumienie. I charakter. proszę pana! Gdyby pan miał trzy żony, to przespałbym się z nimi – gdyby mnie poprosiły – i nie mrugałbym nawet okiem! Ale znam granicę. Nie jestem chamem!”

„Nie lubię, kiedy mężowie wieszają mi się nad głową. Przecież mąż to też człowiek!”

„Takie są czasy. Wszyscy kłamiemy. I wszyscy jesteśmy okłamywani.”

„Nie zna pan kobiet? Zrobią panu piekło albo raj na ziemi. Kochają albo nienawidzą. Nie wiedzą, nie interesuje ich.”

